ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 3 kwietnia 1909 r. № 14.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

4 Powieść historyczna.

— Za pozwoleniem — przerwał cierpko Grużewski, — lecz nie rozumiem zgoła słów pana majora.

Werculin czknął przeraźliwie i zaśmiał się jowialnie.

— Cha-cha! Pan Grużewski nie rozumie! A ja z wami po włosku, po bratersku, po chrześciańsku. Co tu gadać, u nas, w Italii, jest rewolucya!

— Jakto, więc już i w Italii! — zdumiał się szczerze Grużewski.

— Za trzy płacić muszę! — zaintonował głośniej Północ.

— Zostawcie, pan Północu!

— Kiedy bo major dobrodziej myślisz, że mam jednę duszę, a mam cztery!

— My o czem innem. Tak, pan Grużewski, rewolucya idzie...

— Zaraz, liczmy dobrodzieju! Jedna dusza własna, szlachecka i trzy „skazkowe"... do płacenia pogłównego. Uważ jeno, masz ziemię, czy nie masz, masz poddanego, czyli nie, kiedyś szlachcic, to płać za trzech drabów... Cztery dusze masz na jednym karku! Majorowi dobrze, bo ma aby jednę do noszenia i to włoską, — a ja za trzy płacić muszę...

— Zostawcie!

— Jakże mam ją zostawić, kiedy, akuratnie rzekłszy, jest jedna! — dowodził z ferworem pijackim Północ.

Werculina niecierpliwość zdjęła. Chciał przerwać Północowi, lecz ten plótł bez wytchnienia trzy po trzy o duszach.

— Pan Północu by lepiej spać poszedł.

— Łatwo dobrodziejowi z jedną duszą — a mnie ciężko. Szlachecka rada-by się zdrzemnąć a trzy skazkowe, poddańskie, burczą jej nad uchem...

Gadatliwość Północa zmęczyła w ostatku i Grużewskiego. Ale, nim zdobył się na przyświadczenie majorowi, uczuł na swej nodze lekkie, miarowe uderzenie. Grużewski skonfundował się, usunął nogę, lecz uderzenie powtórzyło się wyraźniej, wymowniej. Grużewski spojrzał na majora, lecz ten, zwrócony do Północa, upominał go z wzrastającem rozdrażnieniem.

— Przestańcie raz, pan Północu, pluńcie na wszystkie dusze, dajcie mówić, *per bacco*!

Północ kiwnął się Werculinowi i łysnął nieznacznie przygasłemi oczyma ku Grużewskiemu.

— Daję, dobrodzieju mój! Daję! Niech każdy sobie, co potrza. Jeden z duszami ma turbacyę, drugiemu do panny pilno, a trzeciemu na jarmark. Kiedyś szlachcic to bez ziemi możesz być, a bez trzech dusz skazkowych ani dudu...

Major splunął przez zęby. Grużewski podniósł się. Północ ucichł raptownie.

— Czas na mnie, wielki czas.

— Jakto, pan Grużewski? Toć bodaj wina dopić...

— Bardzo żałuję, muszę w drogę.

— Hm-hm! Pan Grużewski z rosieńskiego? No, to się spotkamy jeszcze. Do Wilna się staram. W Dyneburgu oddechu nie ma. Może zdarzy się sposobność, odwiedzę, nie zapomnę. Kielmy! Doskonalnie. A jak pan Grużewski będzie miał kiedy kłopot z dezerterami, to do mnie, wprost do mnie! Do rekruckiej komisyi!

— Z dezerterami? — powtórzył machinalnie Grużewski.

— Uu! Przecież u każdego dobrego szlachcica musi być dezerter. Nie od dziś w komisyi chodzę. Ale ja szanuję obyczaj. Verzzulini to nie Daszkow zakamieniały, a brat i przyjaciel.

Grużewski skłonił się majorowi, skinął na swego pokojowca, który był właśnie do izby się wsunął, i kazał mu zbierać naczynia do sepecików spiżarnianych. Sam zaś ku Północowi się zwrócił, aby

go pożegnać, lecz szlachcic bez ziemi chwiał głową, wspartą na ręku, tak sennie, tak nieprzytomnie, jakby mu nie tylko skazkowych dusz, ale i własnej zabrakło.

Werculin tymczasem wysączył resztę wina z butelki i jeszcze żartobliwą przymówką, do Północa skierowaną, chciał pożegnanie z Grużewskim przedłużyć. Grużewski atoli zbył grzecznie majora; rzucił pani Błażejowej srebrny pieniądz na stół i wyszedł z izby na ganek, i stąd ku nejtyczance podążył.

Grużewski snać do serca wziął radę Północa, bo ze stangretem długą rozprawę wszczął, aby mu jasno wyłożyć, jak ma popasy odprawiać, jak baczyć na brykę, a kędy do Landskorony podążać. Po czem dopiero uwiązanego do bryki gniadosza kazał siodłać, mantelzaczek podręczny układać, a do siodła go przytraczać.

Gdy nareszcie gniadosz był gotów do drogi, Grużewski wysunął się nieco przed gospodę, aby łatwiej się zoryentować, którędy będzie mu snadniej z ciżby, zalegającej rynek, się wydostać a w którą stronę należy zawrócić, aby do Dźwiny dotrzeć.

Grużewski wpatrywał się długo. Usiłował przypomnieć sobie, wylotem której ulicy przed gospodę zajechał. Napróżno. Zgiełk, wrzawa mąciła mu uwagę. Dziedzic Kielm już chciał zakląć siarczyście, gdy tuż napatoczył mu się jakiś przemyślny wyrostek iłłukszciański i, na rzucone mu pytanie, wspiął się żywo na drabinę woza, stojącego tuż i objaśnił.

— O, zaraz, jak ten kościół widać i później maluteczko k'sobie, za tym węzłem, i ulicą przed się na trakt i do promu na Dźwinie.

— Aa!

— Ooo!—dodał raźno wyrostek. — Widzą, panicz dobrodziej, akurat, jak wielmożna grafianka tu zawraca, do nas.

— Grafianka? Co za grafianka?!

Wyrostek zdumiał się nieświadomości Grużewskiego.

— Przecież nasza! Z liksnoskiego dworu!

— Z jakiego dworu?

— Oo! Toć jedna grafianka na świecie! Niech panicz uważają!

Grużewski rzucił baczniej wzrokiem w stronę, którą mu wyrostek wskazywał.

W oddali, ponad falą ludzkiego pogłowia, ukazała się wiotka, nikła postać niewieścia, niby z pyłków, igrających w warkoczach słonecznych, ulepiona. Aż powoli jęła się w wyraźniejsze kontury stroić, pełniejszemi liniami zdobić.

Grużewski poglądał, jeszcze oczyma nie dosięgał, jeszcze nie odgadł, a już urok zaparł mu oddech, już go zatrwożeniem przejął.

Postać niewieścia zbliżała się, płynęła. Tłum przed nią rozstępował się i chylił przyjaźnie, niby zbożny łan, tchnieniem zefiru muskany. Zgiełk przycichł w obliczu postaci, zamienił się w rozhowor.

Naraz, tuż przed Grużewskim, ukazała się w całej pełni kształtna, smukła kibić czarnej amazonki. Z pod czarnego, nasuniętego głęboko na tył głowy kapelusika, mignęły mu dwa promienie lśniących, złotopopielatych włosów, z pod ciemnych, szeroko rozłuczonych brwi, spojrzały nań przelotnie wielkie, smutne, zadumane oczy.

Grużewski ledwie zdołał ogarnąć wzrokiem nieznajomą, gdy rosły, kary anglez łysnął mu rozognionem ślepiem, poniósł hardo swą panią i ukrył w tłumie jarmarcznym.

— Musi do Owsianków pojechała — zakonkludował wyrostek, zsuwając się z woza — bo w nich troje zachorowało z zarazy, co ją burłaki z pod Smoleńska przywlekli.

Grużewski poruszył się i zagadnął niepewnie.

— Mówisz, że z liksnoskiego dworu? Jak się nazywa?

— Niby nasza grafianka?—zafrasował się wyrostek. — A jej co z nazywania! Dość powiedzieć. grafianka—każdy zrozumie...

— Ależ...

— A co, a co, spodobała się?!— zarechotał tuż za plecami Grużewskiego głos majora. No, no, to ja powiem za pana Połnosu! Panna Emilia Plater, corka grafa Platera, oficerska żmijka! Czterech poruczników ususzyła, generała, komendanta fortecy trubadurem zrobiła, cały sztab drugiej dywizyi rozkochała, a teraz artyleryjskiego kapitana, baronka, piecze sobie, gołąbeczka, na męża.

Grużewski skrzywił się niechętnie.

— Hę, może złe objaśnienie? Pan Połnosu lepszego nie da, bo już prawie pod ławą leży.

— Bardzo obowiązany, mogę jedynie radować się, że pan major nie uległ wpływowi czarodziejki.

Płowe, szklane oczy Werculina drgnęły.

— To jej szczęście, nie moje. Nauczyłbym ją innego obyczaju, żeby na mnie trafiła. I trafi, *per bacco*, trafi powoli.

Grużewskiego kolnęło coś, chciał odpowiedzieć przymówką, lecz w tejże chwili kamień przeleciał nad uchem majora.

Werculin drgnął i obejrzał się niespokojnie.

— Co to? Kto! Uważałeś pan!

— Nie. Sługa majora.

— Odprowadzę, pana do promu. Ej, Sidor!

— Niech się pan nie trudzi.

— Pozwól pan, mam jeszcze...

Grużewski nie słuchał, dopadł gniadosza, uchylił kaszkietu i, nie bacząc na udzielone mu przez wyrostka wskazówki, zawrócił tam, kędy stłoczone wozy nieco wolnego zostawiły przejazdu. A dalej zawrócił na oślep w pierwszą z brzega szerszą ulicę, byle czemprędzej ujść natrętnemu kompanowi.

Dopiero, kiedy po ujechaniu kilkunastu stajań, gniadosz łeb dźwignął i zarżał z zadowoleniem na widok rozległych łąk, Grużewski zastanowił się nieco. Lecz los mu sprzyjał widocznie,—bo w dali, pod pasmem wzgórza, dostrzegł srebrzącą się wstęgę rzeki.

Młody dziedzic Kielm nie mitrężył więcej. Puścił cugle, przesadził rów przydrożny i wyjechał na łąki. Gniadosz wyrzucił łbem, szyję wyciągnął i ruszył z kopyta.

Grużewski aż się rozśmiał do samego siebie.

— Bodajże go, tego Północa! Miał stary racyę!

W pobliżu wił się skośnie trakt iłłuksztański, wypełniony po. brzegi łańcuchami wlokących się noga za nogą wozów.

Grużewski ścisnął konia napiętkami. Gniadosz szczupakami zaczął sadzić. Cztery dziewuchy, skulone na wyładowanej brycekamieniarce, wyszczerzyły zęby do dziarskiego jeźdźca. Jeździec wlot powitanie pochwycił i odwzajemnił się. Młodość skłoniła się młodości.

— Którędy do promu?!

— Tędy, tędy—już widać! pisnęły równocześnie cztery głosy.

— Dziękuję!

— Ii! za co!—zawtórzyły cztery tak smętnie, jakby skarżyć się chciały, iż panicz o więcej nie pytał.

Koń cwałował jeszcze na przełaj łąkami, aż ustał raptem. Woda prysnęła mu z pod kopyt, na szlak mokradeł trafił.

Grużewski musiał pogodzić się z traktem, do niego się przysunąć i ścieżynką nad rowem podążać. Mitręga jednak nie zdała się Grużewskiemu wielką, bo Dźwina już grzbietami „strug" ku niemu poglądała, a przeciwległy brzeg strzechami białych chat coraz pełniej się stroił.

Aliści raptem tuż na trakcie ukazał się szeroko rozpostarty wał wozów, bryk i wózków. Trakt urywał się. Nadciągające z Iłłukszty wozy powiększały go, rozszerzały, umacniały.

— Co to! Dlaczego?

— Prom, panie!

— Gdzież u licha!?

— A prosto! Do nocy zejdzie, zanim na nas przyjdzie.

Grużewskiego aż poderwało na siodle. W bok koniem zatoczył, aby od brzegu Dźwiny promu dosięgnąć. Lecz i z tej strony ten sam mur wozów, koni i ludzi. O przebyciu go roić nie było podobna, gdyż miejsce wylądowania promu na kilka stajań wzdłuż rzeki było zatarasowanem.

Grużewski, mimo to, probował przecisnąć się ku promowi. Kilka najbliższych wózków łotewskich ustąpiło mu nawet politycznie,— lecz dalej ani myśli. Ludzie, w oczekiwaniu na prom, istne obozowisko tworzyli. Konie wyprzęgnięte popasały, ludzie spali w wozach i brykach. Jeszcze jakiś czuchna w łapciach, na energiczne zawołanie Grużewskiego, dyszla mu usunął. Ale za czuchną drzemał w niepozornej kałamaszce opiekły szlachetka, ani się turbując, że mu bułana kobyła czuchny wyjada siano z zaimprowizowanej poduchy. Grużewski zakrzyknął na szlachetkę, lecz ten nie poruszył się.

— Muszę, do krocset, do promu!

— Musisz?—bąknął szlachetka, otwierając jedno oko. — Uczyń, kochanku, jak ja. Połóż się i śpij!

DCN.

Maciej Wierzbiński.

KAJDANY.

Po siedmiu latach spotkaliśmy się na piaskach nadmorskich w Trouville. Wypadkiem, ale niezupełnie niespodzianie.

Doszły mnie posłuchy, że z paryskiego urzędu bankowego przeniesiono go do filii w Hawrze, więc spozierając ku wschodowi, gdzie na wzgórzu, wystającem w morze, majaczyły wile patrycyuszów portowej metropoli, przypomniałem sobie wysoką trochę chudą postać Wicka na tle miłych, warszawskich wieczorów i żywiłem nadzieję, że i on pewnego dnia wyląduje w Trouville z zastępem wywczasowych podróżnych z Hawru. A w tym razie nic łatwiejszego, jak spotkać go nad morzem.

Zwłaszcza w niedzielę roiło się od przerażająco nieciekawych fizyognomii „burżujów" z Hawru na szerokiej taśmie bladożółtych, sypkich piasków, rozpościerających się u stóp „wielkiego" kasyna, które lekkie w strukturze, niemal lotne i, jakby olbrzymia śnieżna róża, wykwitające zpośród szarego otoczenia pod zielonem wzgórzem, wydawało się zdala wspaniałem gniazdem mew.

Tutaj wylegał „cały Hawr i jego żona", by posłuchać muzyki, płynącej z werandy na głowy defilujących przechodniów, by w poblizkiej przystani popatrzeć na najpiękniejsze jachty Blanc'ów, Menier'ów i różnych fabrykantów pieniędzy, by w sali gry pozostawić kilkanaście franków na obrok „konikom", by podziwiać nieprzeliczone samochody, które w ciasnej uliczce „paryskiej" u wejścia do Kasyna wymijały się ostrożnie z swem nerwowem „tuf-tuf", by nasycić oczy widokiem wielkiej wystawy próżności i modnych dam ze świata, który się nie nudzi. Po długim, z desek zbitym chodniku, płynął powoli strumień gości, upstrzony kwiecistemi kapeluszami, pałający czerwienią parasolek, i kąpał się w słońcu, rozsiewając falę gwaru, wtórzącego szmerom uśpionego morza.

Owóż w dzień taki słoneczny, siedząc przed kawiarnią, gapiłem się na blado-cytrynowy balon w kształcie torpedy, który na wzór apokaliptycznych stworzeń krążył hen wysoko nad morzem, gdy spadło na mnie z boku polskie:

— Tam do... Jak się masz?!

Wicek! W swej własnej osobie. Niechybnie ten sam! Nastąpiło gwałtowne powitanie, wspólny obiad i — ponieważ Polacy, jako naród żeński, mówią dużo — rozmowa o wszystkiem i wielu innych rzeczach.

Gdy tego wieczoru parostatek uwoził go do Hawru z powrotem, pozostałem pod wrażeniem, że owe siedem lat wśród obcych, owa ciężka walka o byt, którą opuszczony wygnaniec stoczyć musiał na bruku obojętnego miasta, nim wydobył się na prostą drogę i wskrobał na wóz, wpłynęły na niego ujemnie, pogasiły w nim światła. Pieniądz i nieubłagana proza życia wymodelowały go na wzór bardzo przykładnych filistrów, którzy dla wszystkich innego pokroju osobników żywią odcień pogardy. Interesował się wprawdzie krajem i jego sprawami, ale miałem to wrażenie, że wywieziony zasób obywatelskiego poczucia wyczerpuje się i ustępuje pod parciem gorączki pieniężnej, a dusza jego złożyła swe bezsilne skrzydła w prochu otaczającego go środowiska. Z entuzyasty Francya zrobiła wystudzonego jegomościa, poprawnego „aż do końca paznokci", podszytego drobiazgowem, egoistycznem wyrachowaniem francuskiego mieszczucha. To były resztki Wicka, który jednak nie uronił nic ze swych zalet towarzyskich.

Widywaliśmy się często. Dzieliło nas tylko 3 kwadranse drogi parowcem. Jakoż w pewną niedzielę, gdy z południa wylądowałem na wiecznie błotem i śmieciami wysłanem „quai" Hawru—w obliczu zbrukanych śpichlerzy, zlepionych domków, gdzie mieszczą się biura okrętowe, ekspedycyjne, estaminet'y, garkuchnie i sklepiki,—puściłem się do mieszkania Wicka.

Zajmował dwa pokoje z kuchnią i alkową dla sługi, w pobliżu nadmorskiego bulwaru „Felixa Faure'a". Przyjęła mnie niepiękna, czarnowłosa jejmość nieokreślonego wieku, w skromnej, bronzowej sukni, zamykającej pełne kształty, owiana zapachami szlachetnych selerów, zwiastujących nieodzowne *pot-au-feu*. Wicek miał

powrócić niebawem na śniadanie, więc postanowiłem czekać.

Uderzyło mnie, że gospodyni mówiła po francusku „bez akcentu“, zagadnąłem ją przeto, zkąd pochodzi. A ona na to zmieszała się ogromnie, popatrzyła na mnie z podełba, jakby sama wprzód chciała wybadać, zkąd jestem, i wreszcie odrzekła:

— Z Warszawy...

Wiele więcej nie dowiedziałem się z jej mglistych odpowiedzi. Natomiast opowiadała mi z różnemi szczegółami, że od lat trzech jest gospodynią u Wicka, że przez pewien czas mieszkali przy bulwarku „strasburskim“ i t. p. Ja tymczasem przyglądałem się jej nie bez interesu. Śniada, zwiędła jej twarz z mięsistym nosem, bruzdami, od nozdrzy do kątów ust idącemi, była jedną ze szpetnych, ale charakterystycznych, interesujących fizyognomii oryentalnych, które nie zacierają się w pamięci. Organ miała dźwięczny, dykcyę sympatyczną i w obejściu była miła, uprzejma.

Czemu Wicek nie wspomniał ani słowem, że ma gospodynię z Warszawy? Czemu nie prosił mnie nigdy do swego mieszkania? Uderzyło mnie to teraz i zastanowiło tem więcej, gdy Wicek, zaskoczony moją bytnością u siebie, zmieszał się i próbował zamaskować się obłudnem:

— Doskonale, że zjawiłeś się!... Zwykle w niedzielę— ciągnął żywo — pracuję godzinę lub dwie w banku, następnie spotykam się z kupcami... Posłyszy się niejedno, skombinuje... Nie zaszkodzi. No, zatrzymuję cię tutaj na skromne śniadanie. Potem, jeśli gwałtem chcesz zwiedzać, pokażę ci ratusz i, co zechcesz, z tego nudnego miasteczka.

— Nie wydaje mi się miasteczkiem.

— Ale jest, i to w dodatku fatalnie nudnem. We Francyi jest tylko jedno wielkie miasto. Taki Hawr nie może zdobyć się na nic, co chociaż w przybliżeniu przypominałoby życie wielkomiejskie. Nieraz tęsknię za Paryżem, ale bank ofiarował mi w Hawrze bardzo znaczną zwyżkę i otworzył mi drogę do awansów. Nie mogłem odmówić i ostatecznie...

Zatarł dłonie z uśmiechem. Rozmowa potoczyła się tym torem. W czasie śniadania przerywała ją czasami gospodyni dyskretnem zapytaniem i znikała, jak cień. W całem jej zachowaniu była iście służalcza uległość, a z piwnych oczu wyzierały pokora i lękliwość.

Na czarną kawę poszliśmy do kawiarni Tortoni'ego i zasiedliśmy przed kolumnadą, otwartą na niewielki, zielony plac „Gambetty“, na basen portowy, który stanowi czwarty bok tego handlowego „skweru“ i z zastępem berlinek, tratew, jachtów, masztów i żagli, na bladym lazurze rozwieszonych, robi wrażenie sztafażu czy wielkiej malatury dekoracyjnej. Pomiędzy kawiarnią i niepozornym teatrem a basenem zielenią się krzewy i gazony, przecięte ulicą, a wśród nich bieli się pomnik gołębio-dziewiczego idealisty Bernarda de St. Pierre, który wśród hotelików, wyziewów kuchennych i rozmów giełdowych zamienił się w niepokalany, jak jego cnota, kamień kararyjski i zamarł nieswój i posmutniały, odwróciwszy się tyłem do basenu i kramarskiego świata.

Dopiero tutaj zagadnąłem Wicka o tajemniczą gospodynię.

Poczerwieniał na twarzy, zasępił się i długo siedział w milczeniu, przygryzając koniec wąsa. Wreszcie spojrzał mi w oczy.

— Pamiętasz ty Salkę?... — spytał i ciągnął dalej. — Nie możesz pamiętać. Ale słyszałeś o niej swego czasu odemnie i od innych. Otóż—to ona!... Skąd się tu wzięła? Ha, z mej winy... Boli mnie cała ta historya, dyablo boli. Radbym, psia krew, zapomnieć o wszystkiem... Ale może to lepiej, że się wywnętrzę przed tobą. Posłuchaj.

Zadumał się na chwilę, a potem mówił żywo, półgłosem:

„— Trudno dać ci pojęcie, co to za nudna dziura ten Hawr. Znajomych mam pełno, lecz żaden z tych panów Francuzów, którzy uprzejmie mnie witają w kawiarni i chętnie spędzają ze mną czas, nie zaprosi mnie do siebie. A ja jestem domator, nie znoszę życia w knajpach. Zresztą tu nawet tego niema. Francuz nie lubi, aby mu kto zakłócał porządek domowy, kazał mu rozmawiać, gdy on chce obcinać krzewy w ogródku, lub zmuszać się do przyjęcia gościa, gdy on lęka się szczęku filiżanek, nożów, widelców i hałaśliwej bieganiny służącej. Gość — to ambaras. Przytem Francuz nie lubi cudzoziemców; jedynie nadskakuje Anglikom, bo takie hasło wydała polityka.

„Kobiety?... W mych oczach mają największą wadę, jaką niewiasta może mieć: są brzydkie. Jako człowiek, posiada Francuska niemałą wartość, ale— jako kobieta... Pamiętam, co za cuda głosili, co za dytyramby płodzili o Paryżankach różni warszawscy młodzieńcy, (którzy myśleli, że w Paryżu robią z owsa ryż) po powrocie z nad Sekwany! Słuchając ich, myślałbyś, że to, mościdzieju, nie ziemskie istoty, lecz huryski, syreny; a żadna z naszych Warszawianek nie warta by im trzewika wiązać. Nieraz później we Francyi wołałem w duszy: gdzie u dyabła owe cudności?... Konia z rzędem. Albo ja nie mam oczu!?... Dość, że czarownych syren ani na lekarstwo. Jeśli powieściopisarz francuzki mówi o ładnej lub pięknej kobiecie, nie wierzę ani słowa, bo wiem, co oni rozumieją pod ładnością i pięknością. Odczuwając potrzebę piękna, może więcej od innych, a nie znajdując jej, Francuzi musieli upoetyzować swe niewiasty, co z pomocą gorącej krwi i wyobraźni jest arcyłatwem. W Paryżu—pół biedy; jest tam mnóstwo Angielek, Hiszpanek, Niemek, wreszcie wszystko, cokolwiek ładnego posiada prowincya, ściąga na wielki paryski rynek zbytu.

„Przyznaję: ubierają swoją brzydotę doskonale, malują brwi i usta z talentem nie do zaprzeczenia. Zwłaszcza krój spódnic genialny. Na szczęście. Wogóle suggestyonują piękne linie, których nie mają, i wysilają się na uwydatnienie tego, co natura dała im ładnego. Jeśli Francuzka nie ma nic ładnego, prócz małego palca u lewej nogi, myśli dzień i noc nad tem, jakby się ubrać, aby każdy odrazu musiał dostrzedz ów wdzięk i pod jego wrażeniem zapomnieć o wszystkiem innem. I udaje jej się to. Pod tym względem Francuzki są niedoścignione. Ujawniają niepospolite właściwości artystyczne, które mieszkają tu niemal w każdem stworzeniu, oraz wysoką inteligencyę i skalę cywilizacyi. Z kunsztu ubierania się kobiet można sądzić o stanie kultury w odnośnym kraju. Angielki i Francuzki ubierają się najlepiej.

„Zresztą Francuzka to urodzony kupiec. (Nie kupcowa). O tyle wygadana, o ile kłamliwa, nadto chciwa na grosz do nieprawdopodobieństwa i skąpa do przymierania głodem... Kłamstwo jest najgłówniejszym produktem dzisiejszej cywilizacyi, w życiu francuzkiem zaś jest niejako drożdżami do codziennego chleba, o czem upewni cię każda obyczajowa powieść francuzka, a dla tutejszej kobiety jest potrzebą duchowego organizmu.

„Rozgadałem się, ale... z tego widzisz, że byłoby mi tu niedobrze, gdybym nie miał tej pewności, że zrobię majątek. Tu są pieniądze, które zresztą wszędzie leżą na bruku... dla tych, co umieją je podnieść. Zarobić pieniądze—to łatwa rzecz. Trzeba tylko chcieć... Kto kocha pieniądze, ten je ma.

„Krótko przed mym wyjazdem z Paryża pewien świeżo przybyły warszawiak opowiadał mi, że spotkał w Berlinie Salkę, pomiędzy dwunastoma Polkami, w strojach narodowych usługującemi w knajpie i oczywiście rozpierającemi się (w tychże narodowych, a zresztą wielce karygodnych strojach) z niemieckimi Michałkami i z... niemiecką systematycznością. Moja znajomość z Salką w Warszawie była krótka. Koleje mego życia położyły jej koniec niebawem.

„Pochodzenie Salki jest bardzo ciemne. Matka jej gdzieś z Kaukazu przybyła do Warszawy z familią żydowskich emigrantów. Pierwsze swe lata przeżyła Salka w jakiejś owocarni. Jakim zbiegiem nadzwyczajnych okoliczności dostało jej się nazwisko „Szynta“, tego ona sama nie wie. Dość, że znikł sklepik, znikły owoce, znikła matka, a Salka posługiwała w żydowskim domu i wcześnie musiała radzić sobie własnym dowcipem. Znałem ją, jako nieładną wprawdzie, ale szykowną, ponętną, pełną brunetę, z pyszną figurą, małą nogą i sympatycznym ruchem. Przepadała za mną... Dlatego może na dnie nerwowego organizmu pozostała mi pamięć chwil, z nią spędzonych, i wśród piekielnych nudów, gdy opętały mnie warszawskie wspomnienia, przyszła mi fantazya napisać po nią.

„Posłałem list na chybił-trafił do owej berlińskiej knajpy. Ale nie było odpowiedzi. Dopiero po trzech miesiącach spadł na mnie jej list, radosny,

a nawet dość ortograficzny. Wezwałem ją do siebie i w pewien słotny wieczór marcowy oczekiwałem paryskiego rapid'u, który miał wrócić w me objęcia dawną kochankę po pięciu czy sześciu latach.

„Fatalny wieczór!... Nie umiem dać ci wyobrażenia, co za przerażające uczucie zmroziło mi krew i wpiło się we mnie, gdy miasto szykownej Salki wysiadła do mnie kobieta, prawie już tak szpetna, jak dziś, zmęczona podróżą, zniszczona życiem, wychudzona przez chorobę, z wrzodem na karku, w zmiętym kapeluszu słomkowym, ze zwieszającemi się z boku czereśniami... Trzeba było odwagi bohatera i zaparcia się siebie heroicznego, by nie uciec. A nogi zachwiały się podemną i przeszył mnie przy powitaniu dreszcz wstrętu, którego nie wyzbyłem się już. I tak stała się rzecz niewysłowienie głupia. A co więcej przykra...

„Co miałem z nią począć? Machinalnie wsadziłem ją do dorożki, która potoczyła się w stronę mego mieszkania. Bo przecież, sprowadziwszy ją, nie mogłem rzucić jej na bruk zupełnie obcego miasta! Przyjacielsko-opiekuńczym tonem począłem tłomaczyć jej, że pragnę mieć z niej gospodynię, rzeczywistą gospodynię, tylko gospodynię, ale ton mój nie trafiał bynajmniej do jej przekonania. Nie rozumiała mnie wcale. Nie zrażona mym chłodem, w dorożce ściskała mi rękę czule, przytulała się do mego ramienia i żebrała pocałunku. A każdy kares, każde spojrzenie przynosiło mi bolesny wyrzut, siało we mnie zakłopotanie, troskę o rozwój naszego stosunku. Usiłowałem uniewinniać się przed sobą w duszy, ale potęgowało to we mnie poczucie niemocy wobec fatalnego położenia, poczucie kajdan...

„Taki był początek mej męki.

„Tego wieczoru wyprawiłem ją zaraz spać do przygotowanego dla niej pokoju. Niczem niezrażona wszakże, uważała za stosowne wyelegantować się do mnie nazajutrz po swojemu. Wyglądała na ulicznicę z berlińskiego przedmieścia. Wstręt dławił mnie poprostu; musiałem panować na sobą, by nie bryznąć jej w oczy bezwzględnem słowem brutalnej szczerości.

„Pocieszałem się nadzieją, że ona ani trzech dni nie wysiedzi pod mym dachem, że bolesny zawód i pragnienie dawnego życia knajpiarskiego wywiedzie ją z dwóch klatek, po których błąkała się sama jeden dzień i drugi, nie wiedząc, co począć z swą figurą. Czekałem tylko na najniklejszy objaw znudzenia, na to, by wystąpić z propozycyą odesłania jej chociażby na koniec świata. Lecz, gdy wspomniałem o tem i ofiarowałem jej kilkaset franków na podróż, łzy zakręciły się w jej oczach, długo patrzała na mnie przez nie, a potem usiadła, opadła na krzesło, jakby zcięta z nóg, i poczęła płakać z cicha.

„Niema tak kamiennego mężczyzny, na którego łzy kobiece pozostałyby bez wpływu. Na razie nie poruszyłem tej kwestyi więcej. Wziąłem ją z sobą na obiad do odległej restauracyjki, gdzie mnie nikt nie znał i gdzie nie potrzebowałem się jej wstydzić. Przyjęła to z pokorą żebraka.

„Byłem codziennym świadkiem jej bólu. Pozostawiona sobie, niby więzień, opuszczona, nie mając do kogo przemówić słowa, nauczyła się myśleć, wnikać w siebie i cierpieć... Widziałem, jak stopniowo gaśnie jeden płomyk nadziei po drugim, jak przychodzi na nią uświadomienie rozpaczliwego położenia i jak ów ton bolesny występuje na jej zwiędłe rysy. Przypuszczałem jeszcze, że kiedyś przecie zatęskni za gwarem piwiarni, że z nudów ucieknie odemnie gdziebądź, byle uciec od owej pustki, w jaką wtrącił ją los złośliwy. Więc ponowny zrobiłem wysiłek, aby jej się pozbyć. Chciałem dać jej tysiąc franków na otarcie łez, ale ona odparła na to spokojnie, z godnością:

„— Ja nie wezmę od pana ani grosza... Miałabym jeszcze pana odzierać z pieniędzy za to, że pan sobie o mnie przypomniał i po mnie pisał?... Ale proszę mnie od siebie nie odpychać...

„Patrzy mi w oczy, niczem wyżeł wierny, modli się spojrzeniem, żebrze o dobre słowo, więc jakże ją kopnąć?... Ostatecznie stanęło na tem, że została, by wyuczyć się czy douczyć gospodarstwa domowego i poszukać sobie miejsca, jako gospodyni i kucharka.

„Stopniowo zaszło w niej zupełne przeobrażenie. Z rubasznej kelnerki o krzykliwych tonach, o ruchach wyzywających, zrobiła się cicha kobiecina, na której twarzy wypisało się ogromne zmęczenie życiem... Uczyła się po francusku z podręcznika: „Sprechen Sie Französisch", który przywiozła z sobą, uprzątała mieszkanie, gotowała obiady— i to coraz lepiej. Zrezygnowana, zabita w nadziejach, skuliła się w sobie, niby potulny pies i... tak nieznacznie życie nasze pod jednym dachem ukształtowało się, jak widzisz. A teraz, proszę cię, powiedz mi, co z nią począć!...

„— Począć?... Ostatecznie nikt nie zobowiązuje się trzymać gospodyni do śmierci...

„— Z pewnością. Nic prostszego, jak odprawić ją, ale w tym razie nic nad to trudniejszego... Stosunek nasz jest dziwny. Konwencyonalny, zimny. Nigdy ani słowem nie dotykamy przeszłości, jakbyśmy umówili się. Rozmowa ogranicza się do rzeczy bieżących, dotyczących domu, kuchni, czasem zamienimy kilka słów o pogodzie, o burzy na morzu, o pożarze w *quartier*, o sensacyjnej sprawie, opiewanej przez „Petit Journal". A po za tem...

„Jestem bezradny, bezsilny... We własnym domu czuję się poniekąd krępowanym. W czasie świąt Bożego Narodzenia, będąc w Paryżu, poznałem uroczą dziewczynę z Radomskiego, studentkę z Sorbony, ale nie *bas-bleu*... Gdyby mnie zechciała... Ale co mam począć z Salką? Gdyby choć robiła mi wyrzuty, występowała z pretensyami, narzucała się, nie pilnowała domu, miałbym powód oddalić ją. Rozgniewałbym się i pozbył jej. Lecz ona niczego nie wymaga, zdaje się na moję łaskę, uczepiła mnie się, jakby deski ratunkowej, oplotła mnie włóknami swego serca, wysłała mi pokoje swem bezgranicznem, psiem przywiązaniem. A przywiązanie to opiera nie tylko na miłości, ale głównie na adoracyi, na wierze w moję dobroć, do której się nie poczuwam, ba! nawet w anielskość... Czuję, że gdybym ją odtrącił, stoczy się w ścieki ostatniego upadku, albo w nurty morza, zginie bez ratunku...

„Próbowałem zniechęcić, odstręczyć ją od siebie. Grymasiłem, gderałem, wymyślałem o byle co. Jednego dnia zupa była zła, drugiego pieczeń pod psem, trzeciego sałata z octem i cukrem, więc wpadłem na nią: „Jak możesz podawać takie brzydactwo?! Kto widział sałatę z cukrem?" Wszystko to miało ten jedynie skutek, że jeszcze więcej zaprzyjaźniła się z żoną epicier'a z poblizka, od której uczy się francuzkiej kuchni... przy kieliszku madery lub absyntu. Część pensyi składam jej w kasie oszczędności, bo jej nie chce przyjąć, a resztę... przepija pokryjomu pod poduszką. Wczoraj znowu spostrzegłem w kuchni próżną butelkę Pernod'a.

„Rozpija się z rozpaczy",—powiedziałyby nasze Polki, ale to byłoby wierutnym fałszem, bo nikt nie rozpija się z rozpaczy, tylko z... pociągu do alkoholu. W przystępie nieznośnego zawodu, cierpienia, można upić się raz, ale nazajutrz przyjdzie wstręt do alkoholu tak wielki, jak do owego cierpienia. Więc nie melodramatyzujmy sprawy, która wypłynęła z jakiegoś głębokiego źródła dramatu...

„Salka pije, poprostu z przyzwyczajenia i zapewne wskutek utajonej newrozy, wynikającej z zupełnej zmiany w życiu płciowem kobiety. Przez to jednakże nie jest mniej pożałowania godną, lecz więcej... Ot, co życie, co bieda robi z ludzi! Tak marnieje tysiące kobiet... Napatrzyłem się sam na biedę, zajrzałem głęboko w czeluście piekła dantejskiego... Raz przez trzy doby nic w ustach nie miałem, wiele „nocy we łzach na łożu spędziłem", jak mówi poeta, więc „poznałem moce niebieskie" i... nie mogę jej kopnąć, nie mogę... Cierpienie jest święte...

Przerwał i zatopił się w ponurej zadumie.

— Mam litość—dorzucił po chwili przeciągle, z naciskiem — litość głupią, idyotyczną dla tego odpadka społeczności, dla tej istoty, którą życie podeptało, zbrukało, zniszczyło, ale której jednak nie zdołało... upodlić.

Westchnął i szepnął, jakby do siebie, żałosnym tonem:

— Takie to samotne, zabite, biedne i tak bardzo ciche...

Umilkł. Fala litości zalała mu serce. Miałem przed sobą dawnego Wicka, którego tak kochaliśmy w Warszawie.

— Powiedz mi, co ja mam z nią począć?... Co począć?... — powtórzył rozpaczliwie, głucho, a ja nie miałem odpowiedzi zgoła żadnej.

. . . . . .

W kilka dni potem, gdy po spotkaniu z Wickiem, idąc wzdłuż przy-

stani, zbliżałem się do parowca, który czekał na podróżnych do Trouville, ujrzałem opodal wązkiego pomostu, łączącego pokład z wysokim, kamiennym brzegiem, stojącą Salkę w bronzowej sukni, w słomkowym kapeluszu, z parasolką w ręku. Zapewne czekała na mnie.

„W istocie na mój widok zastygłe rysy jej twarzy ożywiły się i zaraz ruszyła ku mnie.

„— Przepraszam pana... — ozwała się i zająknęła.—Chciałam pana prosić bardzo... o jednę rzecz.

„— O cóż takiego?

„— Pan się nie obrazi... Chciałam prosić, aby pan nie odwodził pana Wincentego odemnie...

„Spojrzałem w jej wyraziste, smutne, głębokie oczy, które utkwiła we mnie z wyrazem błagalnym, czekając na odpowiedź, niby na wyrok sędziowski.

„— Nie, ja nie pragnę bynajmniej wywierać na pana Wincentego jakiegokolwiek wpływu w tej materyi, ani w tym, ani w owym kierunku. Lecz....

„Zawahałem się, a potem uderzyłem w sedno sprawy:

„— Lecz musi pani zdać sobie sama z tego sprawę, że stosunek ten nie może trwać tak wiecznie...

„Zbladła.

„— Nie może?.. Dlaczego?

„— Przecież niepodobna, aby pani zagradzała mu drogę do szczęścia, i to jeszcze tak zacnemu człowiekowi, tak dobremu swemu przyjacielowi.

„— Drogę... do czego? — spytała bez tchu, jakby oszołomiona w obliczu zagadnień wielkiej dla siebie doniosłości.

„— Spodziewać się można, że pan Wincenty pewnego razu zapragnie się ożenić, a wtedy...

„— Czy mówił??—wyrzuciła z lękiem w bolesnych oczach.

„— Bąknął kilka słów, z których... można wnosić... To bardzo możliwe.

„Głowa jej opadła na piersi. W martwem osłupieniu spozierała na wody przystani, ponure, brudne, kołyszące się leniwie i uderzające raz wraz z pluskiem o wyniosły mur brzeżny, na którym staliśmy. Wreszcie, jakby ocknąwszy się z przerażającego snu, chwyciła mnie za ramię oburącz.

„— Ale nie jest narzeczonym?.. Nie mówił?... A pan nie będzie go namawiał, aby mnie odprawił?...

„Napięte jej nerwy rozprzęgły się, ogień w źrenicach zagasł, cień omdlenia przemknął po jej licach, namarszczonych bolesnym skurczem, i z posiniałych warg uleciał rozdzierający szept:

„— Ja nie mam nikogo na świecie...

„Milczeliśmy. Przeraźliwy, zachrypnięty świst syreny parowca uderzył w powietrze. Równocześnie majtek, stojący przy pomoście, wiodącym na pokład, przesłał mi kilka wymownych, przyzywających spojrzeń.

„Ścisnąłem jej rękę, rzuciłem jakieś uspakajające słowo i pospieszyłem na okręt.

„Ile razy myśli me popłyną nad ujście Sekwany, widzę tę postać ciemną i cichą, zapatrzoną martwo na wężowe zygzaki, jakie wówczas malowało słońce na zielonkawych wodach przystani, i staje przedemną zagadnienie: „Co on pocznie?....“

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

14

Przekład z angielskiego.

W głosie jego była raptowna prostota, podobna do prostoty dziecka, gdy to mówił. Domini wiedziała zgoła, iż stosuje on to do wydarzenia na stacyi w El-Akbara, iż stara się naprawić swą niegrzeczność. Sposób, w jaki to czynił, tknął ją ciekawie. Uczuła wielką ochotę wyciągnięcia do niego dłoni i powiedzenia mu: — Ależ oczywiście! Uściśnijmy sobie dłonie!— jakby to uczynili prawi chłopcy-uczniacy. Lecz odrzekła jedynie te słowa:

— Wiem, iż to proste wydarzenie. Proszę o tem nie myśleć.

Mówiąc to, nie patrzała na niego.

— Gdy chodzi o pieniądze, arabowie są bardzo natrętni,—ciągnęła dalej.

Podróżny położył jednę ze swych bronzowych rąk na wierzchu poręczy. Spojrzała na nią i zdało się jej, iż nigdy jeszcze dotychczas nie widziała górnej części ręki, któraby miała tyle charakteru, która by wyglądała tak natężenie, tak gwałtownie i tak smętnie zarazem, jak jego.

— Tak jest, pani.

Mówił wciąż z dziwną lękliwością, z wyrazem—jak gdyby słuchał własnych powiedzeń, jak gdyby jakąś dziwną oczywistością były one dla niego czemś zjawiskowem. Domini pomyślała, iż być może żył on długi czas gdzieś w ustroniu, gdzie samotność jego rzadko kto naruszał, i gdzie z musu nabywał nawyknienia milczenia.

— Są oni jednak bardzo malowniczy. Wyglądają prawie, jak jacyś zakonnicy, kiedy chodzą w swych burnusach. Czyż nie prawda?

Spostrzegła, jak bronzowa ręka uniosła się nad poręczą, i usłyszała, jak noga wędrowca zgrzytnęła o posadzkę wieży. Nic atoli nie odrzekł. Nie widząc teraz jego ręki, zwróciła znowu wzrok na panoramę wieczoru, który z każdą chwilą upływającą pogłębiał się w natężeniu, i stała się bezpośrednio świadomą dwojga uczuć, które ją teraz na dziw przepełniały: silniejszego i słodszego wrażenia czaru Afryki, niż to, które czuła dotychczas, i pewności, iż ta wielka siła i słodycz czucia były spowodowane przez oczywistość, iż miała towarzysza do swojej kontemplacyi. Było to dziwne. Gorąca chęć odosobnienia ściągnęła ją z Europy do tego miejsca pustynnego i oto cudzoziemiec, który był jej zupełnie obcym, dawał tchnienie piękności, natężenie tajemnicy temu, na co patrzała. Zdawało się, jak gdyby waga wieczoru afrykańskiego raptownie się podwoiła. W podziwie tym stała milcząca. Podróżny stał obok niej też milcząc. Potem atoli czuła, iż podczas tej ciszy w wieży, jak gdyby jakaś władna, niewidzialna istota spłynęła tajemniczo, wprowadziła ich tutaj, jedno dla drugiego, i tajemniczo odeszła.

Wieczór nadciągał ze swą ciszą, i marzenie stawało się teraz głębszem. Wszystko, co czuła Domini, kiedy po raz pierwszy zbliżyła się do poręczy, czuła teraz silniej, i obejmowała, w widzeniu cielesnem i umysłowem, nie tylko całość, lecz i niezliczone części tego, na co patrzała. Widziała czarodziejsko kręgi, rozszerzające się w bezmiarze pokoju, lecz widziała także i rzeczy, które były ukryte w tym bezmiarze. Piękno zmroczenia i piękno światła podały sobie ręce. Jedno i drugie było z nią razem, jak siostry. Słyszała głosy, podpływające z dołu, lecz także napewno i głosy od gwiazd, które przybliżały się z nocą, lśniąc harmonijnie i tworząc muzykę własną w powietrzu. Niebo płonące i góry płonące były, jak druhowie, każde odzewne na wzruszenia drugiego. Światła na szczytach skalistych miały wieści dla zamglonego księżyca, a drzewa palmowe dla lotnych, ogniem brzeżonych chmurek na zachodzie. Hen, wdali zmieszana purpura pustyni ciaśniej zamy-

kała okrąg, jak matka, która idzie, by wziąć dzieci w ramiona.

Żydówka wciąż tańczyła na dachu przed patrzącymi na nią żuawami, lecz teraz było coś mistycznego w jej drobnych ruchach, co nie obudzało już w Domini pragnień ukrytych, tak nie licujących z jej naturą. Na wszystkiem, co widziała z tej wysokości w czarownem świetle wieczoru, spoczęło piękno zgodności.

I oto, nie obracając się do swego towarzysza, rzekła:

— Czy może się co wydawać brzydkiem ztąd w Beni-Mora — o tej porze, jak pan sądzi?

I znowu była cisza, która zdała się być charakterystyczną w tym człowieku, zanim odpowiadał, jak gdyby mówienie było wielkim trudem dla niego.

— Nie sądzę, pani.

— Nawet ta kobieta tam na dachu jest teraz pełna wdzięku, — ta, co tam tańczy dla tych żołnierzy.

Nie odrzekł. Spojrzała na niego i wskazała ręką.

— O, tam, czy widzi pan?

Zauważyła, iż nie poszedł wzrokiem za jej ręką i twarz jego stała się surowa. Oczy miał utkwione w drzewa ogrodu Gazel koło posągu kardynała Lavigerie, kiedy odrzekł:

— Tak jest, pani.

To zachowanie się jego kazało jej przypuszczać, iż być może widział ten taniec w zamkniętem kole i że był on uchybiający. Przez chwilę czuła się zlekka zażenowaną, lecz zaraz postanowiła nie pozostawiać go pod fałszywem wrażeniem i dodała niedbale.

— Nigdy nie widziałam tańców afrykańskich. Przypuszczam, że znalazłabym go brzydkim, widząc zbliska, lecz z tej wysokości wszystko się odmienia.

— To prawda, pani.

Był dziwny pomruk w jego głosie, który był głęboki i prawdopodobnie surowy, lecz który on trzymał na nizkich tonach. Domini pomyślała, iż był to najbardziej męzki głos z tych, które kiedy słyszała. Zdał się on być tak pełnym jego płci, jak jego ręce. Nic atoli nie było szorstkiego ani w jednym, ani w drugich. Wszystko w nim było żywotne do stopnia tak znacznego, iż było nie istotnie nadprzyrodzonem, lecz bardzo blizkiem nadprzyrodzoności.

Spojrzała znowu na niego. Był to człek wysoki, lecz bardzo smukły. Doświadczone jej oczy kobiety atletki powiedziały jej, iż był on zdolny do wielkich i długich wysiłków mięśniowych. Był kościsty i siłę miał raczej nerwową, niż mięśni. W człeku takim dziwną się wydawała lękliwość, którą wciąż zdradzał. Gdzie było jej źródło? Nie była to zwykła nieśmiałość i niezdarność człowieka, nie obytego z towarzystwem kobiecem, a który w męzkiej kompanii miał by być hałaśliwy i w swoim żywiole. Domini pomyślała, iż musiał się trwożyć równie i mężczyzn. Nigdy atoli nie uważała za możebne, by miał być tchórzem, nie dzielnym. Tego rodzaju przywara ochłodziła by ją odrazu—i wiedziała, iż była by ją odrazu odgadła. Trzymał się nie bardzo prosto, lecz pochylał ciało i nosił głowę spuszczoną, jak gdyby miał nawyknienie patrzenia częstego w ziemię. Idiosynkrazya ta była raczej brzydką i poddawała jej melancholię, melancholię człeka, oddającego się nazbyt wiele medytacyi i bojącego się spojrzeć prosto w twarz promiennemu cudowi życia.

Schwyciła siebie na tej ostatniej myśli. Ona — z myślami, że życie było pełne promiennego cudu! Czyż by się już tak całkowicie od mieniła tu w Beni-Mora? Lub może myśl ta zrodziła się w niej dlatego, że stała obok kogoś, czyje smutki były bezdennie głębsze, niźli jej, i kto przez to — całkiem bezwiednie—dał jej poznanie dotychczas nie podejrzewanej pełni jej nadziei?

Znów spojrzała na swego towarzysza. On, zdawało się, porzucił zamiar opuszczenia jej i stał spokojnie obok, patrząc na pustynię, z głową, nieco naprzód pochyloną. W jednym ręku trzymał grubą laskę. Włożył na głowę kapelusz. Wyraz jego twarzy był teraz spokojniejszy, niż przedtem. Widocznie czuł się już z nią bardziej swojsko. Domini była rada z tego. Nie pytała siebie, dlaczego. Lecz piękno natężone wieczoru w tej krainie i z tej wysokości wzbudzało w niej porywcze pragnienie, by szczęście, które przyroda ta tworzyła w niej, rozlać na wszystkich, na wszystko. Braterstwo rosło i śpiewało w niej całym głosem, jakby ono istotnie śpiewało w zachodzie słońca, w górach, w rzędach palmowych i w pustyni. Płomię świateł na wzgórzach, zarysy ich purpurowe, poruszające się wachlarze drzew, mrocznych pod zabarwioną różowo gloryą zachodu, i najbardziej ze wszystkiego bezmiernie oddalone horyzonty, z każdą chwilą wciąż bardziej dziwne i wciąż bardziej wieczyste, wszystko to obudziło w niej pragnienie, by tego surowego cudzoziemca uczynić szczęśliwym.

— Tu można by znaleźć szczęście, — rzekła do niego z prostotą.

Ujrzała, że ręka jego wyprężyła się dokoła drzewa jego laski.

— Dlaczego?—zapytał.

Zwrócił się teraz do niej i patrzał jakby ze złością.

— Dlaczego pani tak przypuszcza? — dodał, mówiąc całkiem szybko, bez dawnej niezręczności i bez samowiedzy.

— Bowiem tu jest tak pięknie i tak spokojnie.

— Spokojnie! — rzekł. — Tu!

W głosie jego był dźwięk jakiś pasyi niespodziewanej. Domini drgnęła. Uczuła, jak gdyby miała z nim walczyć—i iż musi walczyć z mocą, jeżeli nie chce ledz w pyle. Lecz kiedy spojrzała na niego, nie mogła znaleźć broni. Nic nie odrzekła. Po chwili on ozwał się znowu.

— Pani znajduje tu spokój,— mówił wolno. — Tak jest, widzę to.

Głowa jego opadła niżej i lico jego jak gdyby twardniało, gdy patrzał znad skraju poręczy na wioskę i na pustynię błękitną. Potem podniósł swe oczy na góry, na niebo jasne i na księżyc zamglony. Każdy żywioł w tej scenie wieczornej był jakby zbadany przez niego z dzikiem, zawziętem wniknięciem, jakgdyby z każdego z nich chciał wydobyć jego tajemnicę.

— Dlaczegoż by nie, tak jest,— dodał głosem nizkim mrukliwym, pełnym jakiejś trwożącej zapowiedzi.—Ma pani racyę. Dla czegożby nie, tak jest, tu jest spokój.

Mówił, jak ten, co naraz został przekonany, ponad siły swej dalszej niewiary, o czemś, czego nigdy nie podejrzewał, o czem nigdy nie marzył. I przekonanie to zdało się być gorzkiem dla niego, nawet na trwogę bijącem.

— Lecz tam w dali, mniemam, że jest rzeczywisty schron pokoju,— rzekła Domini.

— Gdzie? — ozwał się prędko.

Wskazała ręką ku południowi.

— W głębi pustyni,—rzekła.— Hen, zdala od cywilizacyi, zdala od mężczyzn dzisiejszych i od kobiet dzisiejszych, od całego tego hałasu rzeczy drobnych, do których przywykliśmy.

On patrzał ku południowi poważnie. We wszystkiem, co czynił, było jakieś płomienne natężenie, jakgdyby nie był w mocy uskutecznić zwykłej czynności, lub zwrócić oczu na jakibądź przedmiot, by nie powołać do tego swej myśli, lub serca, gwałtowności myśli lub czucia.

— Pani sądzi — pani sądzi, że tam może być pokój—tam, hen— w pustyni?—mówił, i lico jego zlekka tajało, jak gdyby posłuszne myśli jakiejś, nie całkiem smutnej.

— Może to wyobraźnia, — odrzekła. — Lecz sądzę, że tam być musi. Przyroda pewnie nie ma kłamliwego oblicza.

On patrzał wciąż ku południowi, z którego noc wynurzała się zwolna, noc-wędrowiec poprzez mglistość błękitu. Zdawał się być ujętym, oczarowanym przez pustynię, która gasła łagodnie, jak jakieś misteryum, które nadciągnęło blizko na światło objawienia, lecz które teraz odżonęło się w tył — w inny świat czaru. Cudzoziemiec był pochylony naprzód, jak ten, co baczy na odejście, w którem bierze udział swą duszą, i Domini uczuła, że zapomniał o niej w tej chwili. Uczuła również, że człowiek ten został pochwycony przez urok pustyni jeszcze bardziej ogniście, niż ona, i iż musi mieć silniejszą od niej wyobraźnię, większą siłę jej rzutu, niźli ona je miała. Gdy ona niosła łojówkę, on niósł pochodnię płonącą.

Naraz tuż pod niemiwzbił się hałas dziki od licznych drumli. Z wioski murzyńskiej wynurzył się nędzny korowód z grubo-ustych mężczyzn i zawodzących, piszczących niewiast, przybranych w jaskrawe, żółte i szkarłatne szale, prowadzonych przez tancerza mężczyznę, odzianego w skórę szakala i przystrojonego w zwierciadełka, czaszki wielbłądzie i łańcuchy z zębów zwierzęcych. Wodzirej ów krzyczał i skakał, wywracał oczy wyłupiaste i kołował ruchliwym językiem. Kurz wzbijał się dokoła od uderzających w ziemię nagich stóp.

— Yah-ah-la! Yah-ah-la!

Wyjący korowód zbliżył się do wieży, z klaskaniem olbrzymich kastanietów, z hałasem od kijów, uderzanych rytmicznie o siebie.

— Yi-yi-yi-yi! — wzbijał się pisk głosów kobiecych.

Chmura kurzu urosła, okrywając tylną część korowodu — tak że tylko głowy i ręce falujące wynurzały się, jak z wiru wodnego. Hałas drumli i bębnów był, jak hałas wodospadów, głuszący całkiem śpiewaków, w miarę, jak bliżej napływał.

Mężczyzna przy boku Domini porwał się naraz raptem, i wszystka dawna trwożność i samowiedza znów się odbiły na jego twarzy. Zwrócił się, otworzył drzwiczki za sobą i zdjął kapelusz.

— Proszę mi wybaczyć, pani! — rzekł. — *Bon soir!*

— Ja także wychodzę, — odrzekła Domini.

Spojrzał na nią nietowarzysko i trwożnie, zawahał się, potem, jakgdyby pociągnięty mimo woli, ruszył poprzez wązkie drzwiczki wieży w ciemność otworu. Domini chwilę czekała, nasłuchując ciężkich jego kroków po schodach drewnianych. Ściągnęła, jak w bólu silnym, brwi, iż prawie spotkały się ze sobą, i kąty ust jej opuściły się. Zatem wyszła zwolna jego śladami. Gdy już była na schodach, i odgłos stóp zamarł już pod nią, uprzytomniła sobie wpełni, iż to po raz pierwszy doznała obrazy od mężczyzny. Twarz jej stała się naraz gorąca, a usta bardzo suche, i zapragnęła użyć swej siły fizycznej w porachunku nie całkiem kobiecym.

W poczekalni na dole, śród sprzętów pookrywanych, spotkała uśmiechniętego odźwiernego. Zatrzymała się.

— Czy ten pan, który zszedł teraz, dał wam swą kartę? — zapytała raptownie.

Arab przybrał wyraz potulny, służalczy.

— Nie, proszę pani, ale to jest bardzo dobry pan, i ja wiem, że pan hrabia —

Domini przerwała mu krótko:

— Jakiej on narodowości?

— Pani pyta o hrabiego?

— Nie, nie.

— Ten pan? Nie wiem. Ale on umie po arabsku. O, to bardzo miły —

— *Bon soir!* — rzekła Domini, dając mu franka.

Kiedy już była na ulicy w obrębie hotelu, ujrzała cudzoziemca, podążającego w odległości na końcu korowodu murzyńskiego. Kurz, wzbijany przez tańczących, wirował nad nim. Dokoła niego skakało kilka dużych murzynek, odwołując się niewątpliwie do jego wspaniałomyślności. On zdawał się nie zwracać na nie uwagi — i gdy Domini patrzała na niego, przyszła jej na myśl ucieczka jego tego ranka od modlącego się araba.

— Czy lęka się tak samo kobiet, jak lęka się modlitwy? — pomyślała, i naraz wrażenie upokorzenia i złości opuściło ją i zastąpionem zostało przez uczucie przemocnej ciekawości, jakiej nigdy jeszcze względem nikogo nie doświadczała. Stwierdziła, że ciekawość ta powstała w niej prawie od pierwszej chwili, kiedy ujrzała cudzoziemca, i rosła w niej stale. Jedno zdarzenie po drugiem powiększało ją, aż wreszcie stała się określoną, konkretną. Dziwiła się, iż nie czuła zawstydzenia z powodu tego uczucia, niezwykłego w niej i oczywiście nie godnego, jako coś śledczego i wnikającego. Bez wszelkiej przesady można było powiedzieć o niej, iż była w wysokim stopniu nie ciekawą kobietą — co się tycze życia i spraw innych ludzi, nawet tych, których znała najbliżej i o których, jak przypuszczała, dbała najbardziej. Natura jej była rdzennie obojętną na ludzkie przygody. Podniety, niepokoje, nawet namiętności ludzkie nie więcej dotykały jej, jak dotyka na ulicy teatr maryonetek myślącego o czem innem przechodnia.

Tu w Afryce, zdawało się, że cała jej natura gwałtownie się odnowiła, czy nawet zmieniła. Nie mogła rzec, czy jedno, czy drugie. Lecz to mocne ruszenie ciekawości, wiedziała o tem, nie było możebnem jeszcze tydzień temu, w kobiecie, która jechała do Marsylii zmroczona, nie zdająca z siebie sprawy, tęskniąca do zmiany. Być może — iż zamiast gniewać się na to, *winna była błogosławić ją, jako objaw orzeźwienia, do którego wzdychała.*

Zmieniając ubranie do obiadu na ten wieczór, rozstrząsała w myśli, jak ma postąpić ze swym towarzyszem hotelowym, gdy go spotka w jadalni. Na razie zdawało jej się, że trzeba przerwać tę przelotną znajomość — po tem, co nastąpiło. Lecz wnet zdało jej się to niegodnem i tem, co mogło czynić wrażenie, iż on ma władzę obrażenia jej. Postanowiła tedy skłonić mu się, jeżeli się spotkają ze sobą. Gdy już miała zejść na dół, uprzytomniła sobie, jak silnemi były jej wewnętrzne zapasy, i była tem zdumioną. Zuzanna układała coś w szufladach, pochylona i gospodarująca swemi pulchnemi rękoma.

— Zuzanno! — rzekła Domini.

— Słucham panienki.

— Jak długo jesteś już u mnie?

— Trzy lata, proszę panienki.

Panna służąca zamknęła szufladę i odwróciła się, patrząc swemi płytkiemi, szaro-niebieskiemi oczyma na swoję panią, w pozycyi, jakgdyby już była gotową do odfotografowania.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 14-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Kajdany. *Maciej Wierzbiński.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI: Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA: Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie